Nr. 10. Lwów, dnia 16. maja 1907. Rok XXX.

Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

Wystawa gal. Towarzystwa łowieckiego.



Dnia 20. czerwca b. r. otwartą zostanie, urządzona w jednym z pawilonów na placu powystawowym, jako osobny dział **Wystawy przyrodniczo-lekarskiej**

WYSTAWA GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

i trwać będzie do 25. lipca b. r.

Wystawa ta obejmować będzie wieńce jelenie, łopaty łosie, różki sarnie, kły i łby odyńców, wypchane ssaki i ptaki łowne.

Myśliwi, chcący przysłać na wystawę swoje trofea, raczą jak najrychlej, a najpóźniej do 20. maja b. r. zgłosić do Biura gal. Towarzystwa łowieckiego, z dokładnemi danemi, tyczącemi się ilości i jakości trofeów,

które przysłać mają, poczem Komitet wystawowy pośle im legitymacye, na mocy których przesyłki trofeów z powrotem z wystawy odbywać się będą bezpłatnie.

Koszt przesyłki i dostawienia trofeów na wystawę ponosić będą wystawcy. Stanowić będą pod tym względem wyjątek zawodowi leśnicy, którzy swoje trofea, o ile przedstawiają one wyjątkową wartość, mogą przesyłać na wystawę na koszt Towarzystwa.

Trofea ubezpieczone będą od ognia i kradzieży przez czas trwania wystawy.

Na nagrody tak poszczególnych okazów, jak i całych kolekcyi, przeznaczył Komitet wystawowy medale złote, srebrne i bronzowe.

Zwracamy się do ogółu naszych myśliwych z gorącą prośbą, by się chcieli tą, naszą wystawą szczerze zainteresować. Niech każdy przyśle co posiada, jak rogi jelenie i łosie, rożki sarnie, pięknie wypchane i rzadkie okazy zwierząt łownych, kły odyńców i t. d.

Niech ta wystawa chlubnie zaświadczy o wysokim poziomie łowiectwa naszego i niech będzie poważnym i interesującym działem wielkiej wystawy X. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich.

O najżywszy współudział jak najusilniej prosimy!

Juliusz hr. Bielski

Prezes Komitetu Wystawy gal. Tow. łow.

PROPOZYCYE

do

międzynarodowych popisów psów legawych

odbyć się mających

w Bierzanowie pod Krakowem, w rewirach JWPana Karola Czecza de Lindenwald dnia 11. i 12. września 1907 r.

ODDZIAŁ I.

Przegląd.

Do przeglądu tego dopuszczone będą wszystkie psy legawe tak ras niemieckich, jak angielskich, bez względu na wiek, maść i uwłosienie, hodowane „bona fide“ jako czysto rasowe, na udowodnienie czego rodowód nie będzie wymagany. Celem przeglądu tego jest nadanie psom rasowym, odpowiadającym przepisowym znamionom ras poszczególnych, prawa do wpisu w księgi rodowodowe Austr. Towarzystwa hodowli psów rasowych.

Przy przeglądzie tym nadawane będą klasyfikacye I., II. i III. stopnia, przez autoryzowanych znawców ras poszczególnych i uznanych przez Austr. Towarzystwo hodowli psów rasowych we Wiedniu.

Zgłoszenia do przeglądu są wolne od wpisowego. Psy przy przeglądzie odznaczone I., II. i III. stopniem kwalifikacyjnym zostaną wpisane do ksiąg rodowodowych za opłatą 5 koron.

ODDZIAŁ II.

Międzynarodowe popisy psów legawych, krótko-długo-ostro-włosych, niemieckich i gryfonów, pierwszego pola.

Do popisów tych dopuszczone będą psy ras powyższych, którym przy przeglądzie nadane zostanie prawo do wpisu w księgi rodowodowe, bez względu na miejsce ich urodzenia, oraz na miejsce zamieszkania ich właściciciela lub tresera, urodzone nie przed 1-szym kwietnia 1906.

Przy popisach tych badane będą następujące uzdolnienia psów: Nos, sposób szukania zwierzyny, szybkość, wytrwałość, wystawianie ptactwa i zajęcy, sekundowanie, apel (posłuch), zachowanie się przed zrywającem ptactwem, pomykającym zającem i po strzale.

Wpisowe 30 koron, zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.

I. Nagroda 200 koron i nagroda honorowa.
II. „ 100 „
III. „ 50 „

ODDZIAŁ III.

Międzynarodowe popisy psów legawych, krótko-długo-ostro-włosych, niemieckich i gryfonów bez względu na ich wiek.

Do popisów tych dopuszczone będą psy jak powyżej w oddziale II. wymieniono, bez ograniczenia ich wieku. Prócz uzdolnień psów w oddziale II. podanych, wymagane będzie aportowanie ptactwa i zajęcy, oraz szukanie i przynoszenie postrzałków, tak bez, jak i na tropie, aportowanie z wody.

Wpisowe 40 koron, zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.

I. Nagroda 350 koron i nagroda honorowa.
II. „ 200 „
III. „ 100 „

ODDZIAŁ IV.

Międzynarodowe popisy psów legawych angielskich, krótkowłosych (pointerów) i długowłosych (setterów) pierwszego pola.

Postanowienia identyczne z postanowieniami Oddziału II.

Wpisowe 30 kor., zawodowi leśniczy i treserzy płacą połowę.

I Nagroda 200 kor. i nagr. honorowa
II „ 100 „
III „ 50 „

ODDZIAŁ V.

Międzynarodowe popisy psów legawych angielskich bez względu na ich wiek.

Postanowienia identyczne z oddziałem III.

Wpisowe 40 kor. zawodowi leśnicy i treserzy płacą połowę.

I Nagroda 350 kor. i nagroda honorowa
II „ 200 „
III „ 100 „

ODDZIAŁ VI.

Panowie prowadzą.

Do popisów tych dopuszczone będą psy legawe bez względu na rasę i wiek, pozostające w posiadaniu niezawodowych leśników i treserów i prowadzone przez panów. Postanowienia patrz z Oddziału II i IV.

Wkładka koron 50.

Nadane będą cztery nagrody honorowe.

Ogólne postanowienia.

Zgłoszenia nastąpić mają najpóźniej do dnia 1 września 1907 w Galicyjskim Klubie hodowli i tresury psów myśliwskich we Lwowie ul. Jagiellońska 3 ustnie lub pisemnie przy równoczesnem złożeniu wpisowego.

Opóźnione zgłoszenia tylko w tym wypadku są ważne, jeżeli udowodnionem zostanie, że pisemne zgłoszenia wraz z odpowiednią kwotą pieniężną przed upływem wyżwymienionego terminu na poczcie nadane zostało.

Zgłoszenia po upływie terminu oznaczonego mogą aż do ostatniej chwili być uwzględnione, jednakowoż za złożeniem podwójnego wpisowego, zgłaszający zaś nie ma prawa wymagać, by zgłoszenie jego w programie popisów uwidocznionem zostało. Psy badane i sądzone będą tak pojedynczo jak i parami, a wylosowanie liczb porządkowych nastąpi przy starcie.

Każdy pies, który do popisu ma być dopuszczony, musi odpowiadać znamionom ras poszczególnych.

Do każdego z poszczególnych oddziałów, z wyjątkiem I-go i IV, wymaganych jest 10 zgłoszeń.

Sądzić będą fachowi znawcy wedle własnego uznania. Od popisów wykluczone są psy nierasowe, chore i ciekące się suki.

Formularze do zgłoszeń wysyła klub na żądanie, darmo i franco.

Z podpisaniem formularza zgłoszenia poddaje się zgłaszający bezwzględnie powyższym postanowieniom i orzeczeniom sędziów.

Oprócz nagród pieniężnych i honorowych, wydawane bądą PP. właścicielom, wedle uznania dyplomy z pochwalnem uznaniem.

Zmiany w programie zastrzega sobie wydział klubu, ewentualnie kierownik popisów, w porozumieniu się z sędziami, a o zmianach tych uczestnicy popisów na miejscu powiadomieni zostaną.

Psy zgłoszone stawić się mają punktualnie w środę dnia 11 września 1907 o godzinie 8 rano do przeglądu, skąd po odbytej klasyfikacyi wyruszy się w rewir.

Wiceprezes:	Prezes:
Albert Mniszek.	Stanisław Matkowski.



Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków

delegat pow. dolińskiego.

Tak mało spotykamy dziś wzmianek o wilkach w naszym kraju, że na pozór zdawałoby się, że ich już niema, i rzeczywiście na nizinach i w więcej zaludnionych okolicach, należy on do rzadkości. W głębi jednak Karpat, jest on stałym towarzyszem naszego najszlachetniejszego zwierza: jelenia — jest też zarazem jego największym wrogiem, jak i wrogiem każdej szlachetnej i użytecznej zwierzyny.

Nie mam rzeczywiście wyrazów, aby dość namacalnie napiętnować łotrowski, zbójecki zmysł i w największym stopniu krwiożerczość tego strasznego zwierza. Byłoby bardzo wskazanem, ażeby więcej poświęcono uwagi temu drapieżnikowi i dla ochrony naszego tak pięknego i w całym świecie uwielbianego, szlachetnego zwierza, jelenia, niszczono go, a względnie przez władze krajowe i rządowe, przez wyznaczenie wysokich premii przynajmniej po 50 koron za samca, a 100 koron za samicę, do tępienia go zachęcano. Zapewne może niejeden gorliwy leśnik lub gospodarz leśny w Karpatach powiedziałby „a na co nam tyle jeleni, tylko szkodę robią po lasach, ogryzając korę na młodnikach i depcząc plantacye, niechaj je tam wilki jedzą“, co też nawet częstokroć osobiście słyszałem.

Jednakowoż powiedziałbym na to, że rzecz się ma inaczej — my nie potrzebujemy w lesie jako organów wykonawczych wilków, człowiek ma przecież zmysły i potrafi ostatecznie nadmiarowi zwierza w sposób racyonalny i z zasadami gospodarki łownej zgodny, zapobiedz.

My wybierzemy z pomiędzy danej ilości zwierzyny towar pośledniejszy, mniej wartościowy, wilk zaś o to nie pyta, łupi co mu pod zęby wpadnie, nie pytając, czy łania cielna, lub nie, czy z owego młodego osobnika możemy się spodziewać śliczoty w wieńcu, lub nie — to mu wszystko jedno — a co najgorsze, nie ogranicza się na jednej sztuce, tylko jeśli napadnie na całe stado, to jest w stanie przy korzystnej dla niego porze wyniszczyć i kilkanaście sztuk do szczętu.

Żądza niszczenia wszystkiego, co żyje, jest u wilka nieograniczona i prawie nie do opisania.

Rzucony losem powołania i swego zawodu w głąb Karpat, do Sołotwiny-niżnińskiej ck. Zarządu Mizuń pow. dolińskiego, od najbliższej wsi 3 mile oddalonej, w okolicę, gdzie jak to powiadają rzeczywiście „wilki dobranoc

mówią“, miałem dość sposobności przez lat 15 obserwować tego strasznego zwierza, najprzemyślniejszego ze wszystkich naszych drapieżników.

Dla zaznajomienia szanownych czytelników z usposobieniem, charakterem i sprawkami wilków w Karpatach, pozwolę sobie nawieść wiele autentycznych wypadków z życia tych drapieżców.

W roku 1892, gdy przybyłem do Sołotwiny mizuńskiej, zastałem 7 wilków stałych, które operowały na obszarze leśnym około 30.000 morgów w sposób im właściwy; co chwila można było spotkać rozdarte łanie, a o odszukaniu bestyi na tak wielkim obszarze to i mowy nie było, bo za jedną noc, jak mówią, jest w stanie i 10 mil zrobić. Mając pod rękami zabitego konia, który w zrębie przy wywózce kloców złamał był nogę, wywlókłem go niedaleko od domu na główny przesmyk wilków, zatrułem strychniną i pozostawiłem losowi, zaglądając od czasu do czasu z daleka, czy wilki go nie ruszają.

Niestety, prawie co drugi dzień, wilki przychodziły, drapały dookoła, jednakowoż o naruszeniu ścierwa i mowy nie było. W tym czasie jednak codziennie prawie można było spotkać tu i owdzie rozdarte łanie.

Pod wiosnę, tj. w drugiej połowie lutego, kiedy zaczęły śniegi tajać, które i tak w tym roku niewielkie były, a jelenie przed wilkami prędzej już ucieczką mogły się ratować, wygłodziły się wilki, i zdecydowały się bliżej konia oglądnąć.

Miałem naówczas dużego psa, mieszańca tj. z matki dogi, a ojca oswojonego wilka.

Ów pies zwietrzył raz nocą nie daleko od domu wilki, wyszedł naprzeciw nich, jednakowoż pomimo swej kolosalnej siły i nawet przyznawania się do wilczej familii, nie był w stanie utrzymać się na placu, bo „nec Hercules contra plures“, wilków 7 było, a on jeden, po okropnej walce w trzech miejscach, padł ofiarą, rozdarty w strzępy, tak, że z pozostałego tylko kawałeczka skórki, z nosa i jednej łapy, mogłem rozpoznać, że mój „Tygrys“, bo takiego był koloru, już dla mnie stracony.

W dwa dni później, spędziły znowu niedaleko obok mieszkania mego, na rzekę Mizunkę doskonałego czternastaka, który prawdopodobnie pośliznąwszy się na lodzie i złamawszy nogę, stał się łatwym łupem zgłodniałych bestyi. Ponieważ zapewne jakaś fura lub robotnicy idąc wcześnie rankiem do lasu, wilki spłoszyli, nie mogły dowoli nasycić się zamordowaną ofiarą. Drugiego dnia spostrzegłszy farbę, rogi i resztki z jelenia na rzece, zabrałem je do domu.

Następnej nocy przyszły wilki znowu w to samo miejsce, a nie zastawszy resztek pozostałego mięsa, popodążyły dalej, że jednak, jak już powyżej wspomniałem, śniegu były mało, a jelenie łatwiej ucieczką mogły się ratować; zdecydowały się przecież po czteromiesięcznym namyśle zatrutego konia naruszyć.

Wtenczas więc z tej zgrai wilków tj. z liczby 7 padły w pobliżu ścierwa o jakie 100 m. oddalenia 3 wilki, jeden zaś poszedł do szpitala, tj. zaszył się w gąszczach szczytu „Ardzałuszy“, o parę kilometrów od miejsca padliny oddalonym, gdzie dopiero wiosną odnalazłem go w rozkładzie.

Piąty wilk poszedł jeszcze z 5 kilometrów ku szczytowi „Choma“, gdzie idąc ze strażnikiem za jego tropem, spotkałem miejsce, gdzie mu się niedobrze zrobiło, a więc znalazłem sporą ilość oddanego przez niego ścierwa.

Posuwając się dalej w nader głębokich śniegach za tropem wilka w nadziei, że przecież się z nim spotkam, zapuściłem się już za daleko w góry, tak, że byłem w obawie, iż nie będę mógł za dnia wrócić do najbliższej drogi komunikacyjnej, przeto postanowiłem odwrót, tembardziej, że zaczął po trochę śnieg sypać i zasypywać ślady wilcze.

A że śnieg był na szczycie góry bardzo głęboki, bo prawie metrowej wysokości, więc uważałem za najstosowniejsze wracać tymi samymi tropami, czyli gotowemi dziurami w śniegu, któremi do góry wyszliśmy.

(C. d. n.)

ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Sępy.

(*Vulturidae*, *Geier*).

1) **Sęp płowy,** (Gyps fulvus, der weissköpfige oder Gänsegeier). Długość ciała 120 cm. Rozpięcie skrzydeł około 220 cm. Jasno, szaro rudawy, na szyi i głowie puch biały; tylna strona szyi otoczona zadzierzystym kołnierzem. Dziób rogowo żółtawy, woskówka czerwoniawa, tęcze ciemno brunatne, nogi popielato niebieskawe.

Wielki ten ptak drapieżny zamieszkuje góry Europy południowej. Wodzicki znalazł w kwietniu 1898 w Karpatach jego gniazdo z jednem już pisklęciem. W kraju naszym od czasu do czasu spotykany. Niesie 1 do 2 jaj. Żywi się głównie padliną, wobec czego jest ptakiem pożytecznym *i zasługuje na ochronę.*

2) **Sęp kasztanowaty** *s. łysogłów* (Vultur cinereus vel monachus, der Mönchs - oder Kuttengeier) nieco większy od poprzedzającego, różni się od niego ciemno brunatnem upierzeniem, puchem szarym na grzbiecie, szyi i kępkami piór rozstrzępionych na ramionach, które ptak dowolnie podnosić i składać może. Dziób rogowo czarniawy, woskówka i nogi cielisto żółtawe, tęcze brunatne. Szyja w wyższej połowie naga, na tyle szyi piórka tworzą zadzierzysty kołnierz.

Wielki ten ptak rzadszy u nas od poprzedzającego, zamieszkuje góry południowej Europy, a według Wodzickiego dość pospolity w Tatrach, szczególnie węgierskich.

Ze sposobu życia podobny do poprzedzającego.

3) **Ścierwnik biały** (Neophron percnopterus, der Aasgeier). Od tamtych znacznie mniejszy. Wielkości orlika lub kani wielkiej. Odznacza się dzióbem szczupłym, przy samym końcu dopiero zagiętym, żółtym. Brudno biały, lotki czarne. Wyższa część szyi i wierzch głowy, nogi żółte. Dziób i nogi żółte, tęcze brunatne.

Ptak ten, to mieszkaniec Afryki północnej i południowej Europy. Jedynem może miejscem w środkowej Europie, gdzie od niepamiętnych czasów się gnieździ, są Chonkowickie skały przy ujściu Ladawy do Dniestru na Podolu ros. Wspomina już o tem Rząączyński w r. 1721. Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie posiada dwa egzemplarze tego rzadkiego u nas ptaka. Jeden pochodzi z wyż wymienionej miejscowości, drugi zabity w r. 1886 w Sapuhowie, w Borszczowskiem. Ze sposobu życia do poprzedzających zupełnie podobny.

Sokoły.

(*Falconinae*, *Falken*).

1) **Sokół wędrowny,** *s. szlachcic*, *s. właściwy*, (Falco peregrinus, der Wanderfalke). W górnej szczęce wyraźny ząb, odpowiadający szczerbie w szczęce dolnej. Długość ciała 40 cm. i więcej, skrzydła złożonego 31 do 37 cm., ogona 17 do 21 cm. Końce skrzydeł, gdy ptak siedzi, dochodzą do końca ogona. *Palec zewnętrzny dłuższy od we-*

wnętrznego, czem się wybitnie różni od raroga. Również różni się od tego ostatniego w wieku dojrzałym siwemi, zupełnemi pręgami na ogonie. Ptak młody ma pręgi nie zupełne, ale kształt ich jest podłużny, a nie owalny lub okrągły, jak u raroga.

Stary ptak ma głowę, kark i policzki czarne, płaszcz czarniawy z popielatemi, wąskiemi obwódkami na końcu każdego pióra, gardziel białą lub płową. Pierś jego jest biała, spód cały i nogawice czarno w poprzek pręgowane. Ogon z wierzchu czarny z siwemi poprzecznemi pręgami. Woskówka i nogi żółte. Tęcze kasztanowate. Samica jest wybitnie większą. Młode różnią się od starych ciemno brunatnym płaszczem z płowem obrzeżeniem piór, płowym w poprzek szeroko pręgowanym spodem i płowemi niezupełnemi pręgami na brunatno szarym ogonie.

Wielki ten i wspaniały sokół zamieszkuje Europę, Azyę, północną Amerykę z wyjątkiem Meksyku i wyspy Vancouver. U nas znajduje się wszędzie, ale w małej bardzo ilości.

Gnieździ się u nas w marcu. Gniazda zakłada stosownie do okoliczności, w skałach, na wierzchołkach drzew, na równinach zaś bezleśnych nawet i na ziemi. Jaj znosi 2—5, które są rozmaitego kształtu, koloru rudawego, ceglastego lub różowego, rozmaicie upstrzone.

Ptak ten w starem sokolnictwie grający wielką rolę, należy do najniebezpieczniejszych rabusiów zwierzyny i *zasługuje na bezwzględne tępienie*.

2) **Sokół rarog.** (Der Würg- oder Sakerfalk, Hierofalco saker, vel Falco lanarius). W górnej szczęce ząb, jak u wszystkich sokołów. Koniec ogona wystaje o 3 do 4 cm. z pod złożonych skrzydeł. Długość ciała 50 do 55 cm, skrzydła złoż. 33 do 41 cm. ogona 20 do 24 cm.

Różni się od sokoła wędrownego palcem zewnętrznym równym wewnętrznemu, gdy jak wyżej powiedzieliśmy, sokół wędrowny ma palec zewnętrzny daleko dłuższy. Stary ptak ma głowę białawą, na wierzchu brunatno kreskowaną, boki twarzy brunatno kreskowane; u spodu wąs ciemno brunatny, za okiem podobną ciemną smugę. Płaszcz jego jest brunatny z szarą, wąską obwódką każdego pióra. Spód jest biały z lekkim rudawym odcieniem. Tło ogona jest takie, jak płaszcza a każda sterówka ma na sobie 8 par okrągłych lub owalnych plam jasnych, tworzących 8 niekompletnych pręg na ogonie, czem się różni wybitnie od młodego sokoła wędrownego, u którego pręgi w ogonie są również niekompletne, składają się jednak z plam podłużnych, o nie okrągłych, lub owalnych. Woskówka i nogi są zielono żółte. Tęcze brunatne.

Młody ptak posiada głowę jasną, białą, płową, mocno podłużnie upstrzoną.

Płaszcz jego jest szaro brunatnym z rdzawem obrzeżeniem każdego pióra. Spód ciała ubrany grubemi plamami brunatnemi. Woskówka i nogi są ołowiasto - popielate.

Raróg jest mieszkańcem wschodniej Europy, północno-wschodniej Afryki i zachodniej Azyi. Na Ukrainie i Podolu pospolity, na Litwie rzadki, w Królestwie raz tylko dotąd spostrzeżony, w Galicyi wschodniej częstszy, a w zachodniej rzadko spotykany. Nie ma wątpliwości, że się u nas gnieździ, pospolitym ptakiem jednak nie jest.

Gniazda zakłada na starych drzewach, jaj niesie 3 do 5, od jaj poprzedzającego sokoła dużo większych i więcej podługowatych. Samica od samca większa.

Ptak ten również w sokolnictwie naszem wielką grał rolę, sprowadzanym bywał z północy.

Rabuś wielki, lecz z powodu swej rzadkości mało dla zwierzostanów niebezpieczny.

3) **Sokół norweski** (Hierofalco gyrfalco, der norwegische Jagdfalk). W szczęce górnej ząb. Palce zewnętrzny i wewnętrzne równe sobie. Największy sokół. Długość ciała 60 do 65 cm., 38 do 41 cm. ogona 25 cm. Z wierzchu brunatno szary, pod spodem biały z ciemnymi płomykami, pod okiem pas ciemny. Woskówka i nogi popielate, u bardzo starych egzemplarzy żółte. Tęcze brunatne. Prócz tego odróżniano dawniej większego jeszcze *Sokoła białozora* (Falco candidans, der islandische oder grosse Jagdfalk). Nie jest to jednak inny gatunek, ani nawet odmiana, w zoologicznem znaczeniu, są to tylko egzemplarze pochodzące z dalszej północy, mianowicie z Grenlandyi i Islandyi, gdy ojczyzną sokoła norweskiego są północne obszary Europy i Ameryki. Młode posuwają się w zimie ku południowi i spotykane bywają w północnych Niemczech i Holandyi. Królewski ten sokół w starem sokolnictwie należał do najdroższych i najwięcej cenionych. U nas należy do największych rzadkości ornitologicznych. Jedyny egzemplarz upolowany został w gubernii siedleckiej w Królestwie, w r. 1874 i znajduje się w warszawskim gabinecie zoologicznym.

4) **Sokolik kobuz,** *kobiec, s. drzewny*, s. leśny. (Falco subbuteo, der Baum oder Lerchenfalke). W szczęce górnej ząb, cecha sokoła, końce skrzydeł złożonych poza koniec ogona nieco wystają. Długość ciała 28 do 35 cm. skrzydła złoż. 24 do 27 cm., ogona 15 do 16 cm.

Kobuz pod względem upierzenia i kształtów jest miniaturą sokoła wędrownego. Stary ptak ma czarniawylub siwo czarniawy wierzch. Na karku duża plama rudawo płowa. Gardziel biała lub płowo biała, taki sam spód mocno biało, czarno kreskowany. Nogawice i pokrywy podogonowe rdzawo czerwone. Woskówka i nogi żółte, pazury czarne, tęcze orzechowo brunatne.

Młody ptak różni się od starego jasno-płowem obrzeżeniem piór na karku, jasno i rdzawo płowym spodem i nogawicami nie tak rdzawemi i czarno kreskowanemi. Samica nieco większa.

Kobuz zamieszkuje Azyę i Europę. Jest u nas ptakiem przelotnym i mieszka w naszym kraju od końca maja do początku listopada. Gnieździ się po lasach, ale sam gniazd nie ściele, tylko zajmuje je po wronach i pustułkach. Jaj niesie 3 lub 4.

Sokolik ten łatwy do oswojenia, używany był w sokolnictwie do łowów na mniejsze ptaki, żywi się też nimi do syta, zjada także chrabąszcze i inne owady. Jest w każdym razie szkodnikiem i *powinien być tępiony*.

(C. d. n.)

Korespondencye.

W interesie naszych sztućców.

Każda broń palna nosi sama w sobie a raczej we własnym ładunku zarodek swego zniszczenia. Wywiązujące się w chwili strzału gazy, powstałe ze spalenia prochu, działają ujemnie na wnętrze lufy, gdyż tworząc związki chemiczne z żelazem luf, niszczą polerowane wnętrze, a po dłuższem działaniu tworzą plamy i wklęsłości, działające ujemnie na wytrzymałość i dokładność broni. Najskrupulatniejsze czyszczenie broni nie uchroni jej przed zniszczeniem, opóźnia tylko moment, w którym broń staje się z powyższych przyczyn bezużyteczną. W interesie właściciela broni jest moment ten odsunąć do najdalszej, możliwej przyszłości. Najmniej cierpią lufy śrutowe, z których strzelamy prochem czarnym, więcej zagrożone są śrutówki, nabijane różnymi gatunkami bezdymnego prochu, a najwięcej narażone i najszybciej ulegające zniszczeniu są mało-kalibrowe lufy sztućcowe, zbudowane wyłącznie do prochu bezdymnego. Lufy te utrudniają samą swoją konstrukcyą proceder czyszczenia. O ile łatwo gładką śrutową

lufę przejrzeć i wyczyścić, o tyle dokładne wyczyszczenie mało-kalibrowych, gwintowanych luf, wymaga pracy, czasu i sumienności. Wszystkie prochy bezdymne wytwarzają spalając się, związki specyalnie niebezpieczne dla żelaza i stali. Tu nie wystarcza już dokładne wytarcie lufy po strzale. Zwodnicze błyszczenie po wytarciu, nie jest jeszcze dowodem czystości. W drobnych gwintach sztućców drzemią nieznaczne i niedostrzegalne dla oka osady, prowadzące nieustannie swą krecią, destrukcyjną robotę i gdy dopuszczono raz tylko do utworzenia się plam w lufach, to potem już bez ratunku plamy te powiększają się i pogłębiają i najdokładniejszy sztuciec staje się bezużyteczną, odpustową pukawką. Przy używaniu prochu bezdymnego nie wystarcza jak najdokładniejsze wytarcie luf kłakami i tłuszczem. Przy takiem postępowaniu ustępują tylko grubsze osady, pozostaje jednak najniebezpieczniejszy czynnik, a tym jest rodzaj cieniutkiej pateny, pokrywającej całe wnętrze luf po strzale, rodzaj szmelcu, który ani w wodzie, ani w tłuszczach zwyczajnych nie jest rozpuszczalny.

Do walki z tym nieprzyjacielem wynaleziono cały szereg środków, działających najczęściej zasadowo i mających neutralizować kwaśne oddziaływanie (żarcie) wspomnionej pateny. Środków tych mamy bardzo dużo jak np. Curol, Nitrol, Cerwin, Alkalin i w. innych. Akademicznie wszystkie są dobre, w praktyce żaden z nich nie jest wszechmocny, bo prawie nigdy nie jest użyty w tym czasie, w którym być powinien. Ażeby broń jak najmniej cierpiała od skutków prochu bezdymnego, powinna być wyczyszczoną odpowiednim środkiem w możliwie najkrótszym czasie po strzale. Zastanówmy się, kiedy i o ile jest to możliwem. Pomijam śrutówki i mam na myśli tylko sztućce. Myśliwy, polujący w pojedynkę, polujący na podchodnem, jest zależnym tylko od siebie i rozporządza do woli swoim czasem. Myśliwy taki może mieć ze sobą wszystkie przybory do czyszczenia (nie zajmujące zresztą dużo miejsca) i może w każdej chwili otoczyć broń swoją należytą opieką. Jeżeli sztuciec pürschowy jest źle utrzymany, to winien temu wyłącznie sam właściciel. Lecz weźmy np. gremialne polowanie z nagonką. Myśliwy może mieć spotkanie już w pierwszym miocie; do powrotu do domu upływa 6—8 godzin, a czasem i więcej, destrukcyjna robota wewnątrz luf choćby w minimalnym stopniu już rozpoczęta (mam zawsze na myśli proch bezdymny) należałoby jak najrychlej przyjść z pomocą broni, tymczasem cóż się dzieje?

W gościnnym wiejskim dworku, pomimo pięknej legendy o rozszerzaniu się ścian...... ciasno. Po trzech i czterech myśliwych mieści się w jednym pokoju, chaos okropny z kuferkami, torbami, najczęściej nikt do swoich rzeczy trafić nie może, jeden na drugiego czeka, jeden drugiemu ustępuje. Gdzież tu się rozłożyć? Jakąż dać pomoc swojej broni, kiedy człowiek z własną toaletą ma ciężki problemat do rozwiązania. Na dobitkę jest zazwyczaj w takim dworku jakiś nie polujący „starszy pan“, „Dziadzio“ lub „Wujaszek“ ogromnie zacny i gościnny, ale i okropnie głodny, który w oczekiwaniu obiadu już od południa zaglądał do okien, czy myśliwi nie wracają, a doczekawszy się ich nareszcie, drepce teraz po gościnnych pokojach i zaklina na wszystkie świętości, ażeby się spieszyć, bo obiad się popsuje. Bywa w takim dworze, najzacniejsza, bardzo często urocza i gołębiego serca, ale okrutnie niecierpliwa Pani, która śle wysłańców jednego za drugim do gościnnych pokoi, a każdy wieść niesie, że Panie już ubrane i że obiad już czeka. Więc z ciężkiem sercem zostawia człowiek sztuciec nie wyczyszczony i pędzi do obiadu, „bo Panie czekają“.

Po obiedzie pogawędka, partyjka, a w sztućcu tymczasem osady gospodarują aż miło.

Mógłby ktoś powiedzieć, że czyszczenie broni jest rzeczą służby. Zazdroszczę tym, którzy dostatecznie wyszkoloną służbę mieć mogą. W całem mojem życiu spotkałem tylko dwu takich służących, którym broń moją powierzyłbym spokojnie. Ale gdyby nawet każdy myśliwy posiadał takiego artystę w czyszczeniu, to chciałbym zobaczyć minę „gościnnego gospodarza“, któremuby każdy z 12—15 zaproszonych, przywiózł swojego famulusa. A miejscowa służba? No, to ładnie wygląda broń, wyszedłszy z takich rączek. W końcu położenie bez wyjścia i sztuciec, arcydzieło rusznikarskie, cud wykończenia i dokładności, pada ofiarą głodnego „starszego Pana“ lub niecierpliwej „pięknej Pani“.

Tak, urocze Panie! Skoczyłbym dla was w piekło, rzuciłbym w błoto moją delię, byście przeszły suchą nóżką, wzywam każdego na udeptaną ziemię, ktoby ośmielił się Wam uchybić, wybaczam Wam moje siwe włosy, wybaczam Wam szczerby w mojem sercu, ale szczerbu w moim sztućcu wybaczyć Wam nie mogę. A tak łatwą byłaby rada w tych ciężkich terminach. Dać tylko godzinę wytchnienia strudzonym łowcom, zanim danem im będzie stanąć przed Waszym, zawsze łaskawym i pobłażliwym areopagiem, do którego nam zawsze tak spieszno, byle tylko rdza nie gryzła naszych sztućców.

A teraz jeszcze jedno zapytanie, które może wyjaśni kto z pp. rusznikarzy. Każdy, kto miał do czynienia z bronią mało-kalibrową i prochem bezdymnym, musiał zauważyć, że wszystkie małokalibrowe sztućce repetierowe znacznie mniej cierpią od prochu bezdymnego, aniżeli lufy kulowe tych samych kalibrów w drylingach lub sztućcach dubeltowych. Bez żadnej wątpliwości przyczyną tego jest różnica materyału luf, który u sztućców repetierowych jest zapewne znacznie odporniejszy. Zapytuję rzeczoznawców, czy sprawa ma się rzeczywiście tak, jak przypuszczam, a jeżeli tak, to dlaczego fabryki nie wyrabiają kulowych luf do drylingów i dubeltowych sztućców z tego samego materyału, z którego są wyrabiane lufy sztućców repetierowych?

Nie małe są także i zewnętrzne niebezpieczeństwa grożące broni. Pomijam wpływy atmosferyczne, a mam na myśli tylko niebezpieczeństwa zewnętrzne, spowodowane własnem niedbalstwem lub roztargnieniem, a często nieostrożnością lub bezwzględnością naszych bliźnich. Ileż to razy, siedząc w kilku na saniach, słyszy się szczęk luf uderzających o lufy. Szczęk taki miłym jest dla ucha myśliwego, dbałego o zewnętrzny wygląd swojej broni, akurat jak drapanie po szkle. Albo też, ileż to razy widzi się w jakimś przedpokoju, po którym biega zaaferowana służba, sztućce poopierane o chropawą wyprawę ścian, lub co gorzej jeszcze, ustawione w bezładnej kupie w jakimś kącie, lub rzucone jak polana, jeden na drugim na jakiejś kanapie. Jedno trącenie, jedno niebaczne zaczepienie, a cała kupa wali się z przeraźliwym szczękiem i łoskotem. Zaginają zię i rysują lufy, kaleczą lub łamią osady, przesuwają się mozolnie ostrzelane wizery i muszki.

W pospiechu wyjazdu, gdy jeszcze przy 15° mrozie, uważa sobie gościnny gospodarz za obowiązek, wyprowadzić gościa aż do sani, gość się spieszy, porywa sam, lub też mu pakują broń cudzą i nieraz potem tygodniami

dojść do swojej własności nie można, a odbiera się ją czasem w stanie, że pożal się Boże.

Bywają i gorsze przypadki. Pamiętam przed laty prawie dwudziestu, miałem śliczną śrutówkę, czarną jak cygankę. Nocowałem po polowaniu w pewnym gościnnym domu, który jednak pod względem myśliwskim nie świecił przykładem. Moją Diankę, starannie wyczyszczoną, położyłem ostrożnie na sofie. Wczesnym rankiem zbudził mię szmer miejscowego służącego, wchodzącego do mego pokoju z jakąś strzelbą w ręku. Zapytałem co to za strzelba? „Proszę pana trę i trę te lufy i nie mogę się ich doczyścić, ciągle czarne“. Zerwałem się na równe nogi. O grozo! Moja ukochana Dianka dotąd bez rysy i skazy, wyglądała jak pilnik. Całe lufy zdrapane i porysowane, zapewne piaskiem lub stłuczoną cegłą, świeciły białemi smugami i głębokiemi bruzdami i jeszcze nieszczęśnik się żalił, że się doczyścić nie może.

Aleksander Przedrzymirski.

Nienawiść przepiórek do derkaczy.

Pewnego razu, będąc w czerwcu u swego brata w Bolechowicach pod Krakowem, gdzie dużo bywało przepiórek, wyszedłem na spacer w pole. Spotkawszy pastuchów, zapytałem się ich, czy dużo słyszą wabiących się kuropatw i przepiórek? Chciałem z tego wywnioskować, czy będzie co strzelać tego roku. Odpowiedział mi: Kuropatwy czasami tylko wieczorem słyszymy, ale przepiórki i derkacze, to ciągle się drą i biją ze sobą...

— Jakto się biją?... Kto się bije?

— A biją się przepiórki z derkaczami, proszę pana.

To nie może być!... Bajki pleciecie!

Nie pleciemy bajek proszę pana. Jak pan chce, to może się zaraz o tem przekonać. — Józek! — Zrób karbowańca i pokaż panu, jak przylecą do niego przepiórki. Józek pobiegł do pobliskiej wierzby, uciął gałązkę grubości palca, i zaczął ją po obu stronach na płasko przystrugiwać. Potem, powyrzynał na niej karbiki, takie jakie robią karbowi znacząc kopy w stodole. Później, ustrugał jeszcze jeden patyk na płasko, a gdy to już miał gotowe — powiedział mi, wskazując: Niech pan teraz pójdzie ze mną, do tej miedzy, między koniczyną. Gdyśmy tam zaszli, kazał mi usiąść, co też sam czyniąc, zaczął pociągać płaskim patykiem po karbikach, co bardzo dobrze, naśladowało krzyczenie derkacza. Po kilku minutach takiego wabienia, wyskoczyła przepiórka na miedzę a wyciągnąwszy do góry szyjkę, zaczęła się w koło rozglądać. Po chwili przybiegła jeszcze druga na miedzę i też się rozglądała. Powiedział mi chłopak, że one poto tu przybiegły, by bić derkacza. Jeżeli pan chce to zobaczyć, to musi tu przyjść w czas rano, bo on wtenczas na tej miedzy zawsze się drze.

Na drugi dzień o piątej rano, byłem już na oznaczonem miejscu, gdzie też i Józka zastałem. Usiadłem z nim na tej samej miedzy, oczekując z niecierpliwością, na to osobliwe widowisko. Po jakimś czasie, stanął derkacz na miedzy i wyciągnąwszy szyję do góry, zaczął swój koncert. Ledwo powtórzył kilka razy swoje sześć! sześć! a już była przy nim przepiórka i zaczęła na niego skakać jak kogutek. Bronił się, skacząc na nią w ten sam sposób, ale w tem przybiegła jeszcze jedna przepiórka, i też się rzuciła na niego. Widząc przeważające siły, uciekł w koniczynę i stamtąd dopiero, jakby na urągowisko przepiórkom, zaczął znowu wołać: sześć! sześć!

Nigdy nie przypuszczałem w przepiórkach, tych ślicznie i niewinnie wyglądających kurkach, takiej zajadłości i czupurności. Zapytałem się chłopaka, czy często widuje takie bitki? Odpowiedział mi, że zawsze przepiórki biją derkacza, gdy wyjdzie na gołe miejsce i drze się. Zaczął mi potem opowiadać następującą bajkę:

Było to w bardzo dawnych czasach, gdy zwierzęta i ptaki jeszcze mówiły, przyszedł strasznie nieurodzajny rok. Nie było na polu, ani żyta, ani pszenicy, ani żadnego innego ziarnka. Wielką biedę miały ptaszyska i padały z głodu jak muchy, a tu przepiórka, wysiedziała aż czternaście dziecisków i nie miała im co dać jeść. Poszła wielce zafrasowana, do najbliższego sąsiada derkacza z prośbą, by jej pożyczył, kilka ziarnek przenicy. Derkacz, będąc sam w biedzie, podrapał się po łbie, ale jako dobry sąsiad, nie chciał swej sąsiadce odmówić pożyczki. Wygrzebał pazurem kilka ziarn przenicy z ziemi i dał je przepiórce, wymawiając sobie, by mu to oddała na przyszły rok. Przepiórka bardzo pięknie podziękowała derkaczowi i odeszła do dzieciaków, które na nią wygłodniałe czekały. Następne lato, było bardzo urodzajne, ziarna było dosyć wszędzie, więc derkacz, upomniał się u przepiórki o swój dług, wołając: Oddaj mi ziarnek sześć! sześć! Przepiórka odpowiedziała: Pięć pono! pięć pono! Od słowa do słowa, przyszło do kłótni, a potem do bitki.

Od tego czasu, zawsze się o to kłócą i biją. -- Nikt teraz dowodnie nie wie, czy derkacz jest lichwiarzem i upomina się o więcej niż pożyczył, czy też przepiórka jest cyganem, oszustem. Ubawiła mnie bardzo ta historyjka. Widocznie i do ptaków, można przystosować to samo przysłowie, co do ludzi.

Nie pożyczaj, dobry zwyczaj
Nie oddają, jeszcze łają!

W każdym razie, jest to bardzo ciekawe, dlaczego te ptaki, tak się ze sobą nie znoszą.

Józef Ożegalski.

Monasterzec, w marcu 1907.

Polowanie na tracze.

Przejeżdżając z początkiem lutego b. r. przez most nad rzeką Dniestrem pod Samborem, zobaczyłem przelatujące dwie duże kaczki, w których — gdy się zbliżyły — rozpoznałem tracze czyli nurogęsi, zwane także szlacharami lub hoholami. (Mergus merganser, der Gänsesäger).

Ponieważ miałem sposobność przed kilkunastu laty strzelać do tych pięknych ptaków i kilka z nich ubić, będę się starał opisać to polowanie w nadziei, iż uda mi się choć cokolwiek zająć Szanownych czytelników.

Należąc przez dłuższy czas do załogi wojskowej w Samborze, byłem zarazem członkiem tamtejszego klubu łowieckiego. W czasie od roku 1890 do 1900 dzierżawiliśmy prócz polowań gminnych w kilkunastu okolicznych wsiach, także i polowanie na gruntach do miasta Sambora należących, w obszarze kilku tysięcy morgów.

Pewnego dnia w styczniu r. 1892 lub 1893 otrzymałem wiadomość, iż na Dniestrze tuż pod kolonią Neudorf, w łozach, zapadło kilkadziesiąt dużych kaczek. W pół godziny potem siedzieliśmy z kolegą porucznikiem B. w sankach. O jakie 200 kroków od miejsca, w którem spodziewaliśmy się kaczki zastać, wysiedliśmy z sanek, a korzystając z gęstej mgły i krzaków wikliny, udało nam się przybliżyć na jakie 70 kroków do kaczek.

Wyszliśmy z wikliny, kaczki porwały się z wielkim szumem. Po daniu 4 strzałów, 2 sztuki padły zaraz, 1 sztuka o kilkanaście kroków dalej. Podczas, gdy kolega B. podążył do dalej upadłej, starałem się podnieść jedną z bliższych, silnie rzucającą się na lodzie, biało-czarną sztukę, lecz ta, gdy ją już uchwycić miałem, poczęła syczeć, zupełnie tak, jak to czynią nasze swojskie gęsiory, poczem zsunęła się do wody i ukryła się pod lodem. Nie bez trudu wydobyliśmy ją stamtąd. Dwa inne egzemplarze były nieco mniejsze, o ubarwieniu zupełnie odmiennem. Z wielkości i sposobu zachowania się, poznaliśmy, że mamy przed sobą nie kaczki, lecz coś pośredniego między kaczką a gęsią, a z różności ubarwienia wnosiliśmy, że mamy dwie odmiany w ubitych ptakach. Dopiero z podręczników skonstatowaliśmy, iż jasno upierzony, większy egzemplarz jest samcem, 2 inne samicami, na wysokiej północy gnieżdżących się a do nas tylko w czasie ostrych zim zalatujących, nurogęsi.

Ubite ptaki postanowiliśmy — dla ich rzadkości, bardzo pięknego ubarwienia i dla ich ogólnego bardzo estetycznego wyglądu, wysłać do wypchania, a ponieważ każdy z nas chciał mieć oba rodzaje t. j. samca i samicę, więc postanowiśmy jeszcze raz zapolować na nie.

Wysłany służący na drugi dzień w to miejsce, doniósł nam, iż tracze znajdują się o kilkaset metrów powyżej miejsca, gdzie je wczoraj zastaliśmy.

Dzień pogodny, jasny, brak krzaków i drzew nie pozwalał przybliżyć się na strzał. Ukryliśmy się zatem w łozach, na załomie rzeki, a służący otrzymał rozkaz, dalekim łukiem okrążyć ptaki i napędzić na nas.

Plan się udał. Ślicznie wyglądało — na tle pogodnego nieba — nadciągające stado tych ptaków, z wielkim szumem ponad naszemi głowami. Strzelaliśmy tylko do samców. Od 4 strzałów padły 2 sztuki, oba samce. Jeden z nich trafiony w szyję, żył jeszcze z godzinę, mimo, iż używaliśmy obaj, a później i służący całej siły, aby go udusić. To świadczy o wielkiej sile żywotnej u tych ptaków.

Niejeden może z Szanownych czytelników pomyśli, iż polowanie takie — na słabym tylko lodem pokrytej wodzie — na rzece takiej jak Dniestr musiało pewnie przedstawiać niebezpieczeństwo załamania się lub nawet utonięcia. Otóż, tu, dla tych Szanownych czytelników, którzy okolic Sambora nie znają, winienem dla objaśnienia dodać, iż niebezpieczeństwo takie nie istnieje, gdyż tu pod Samborem jest woda Dniestru tak płytką, iż przy normalnym stanie wody niebezpieczeństwo utonięcia jest prawie wykluczonem.

Mostu żelaznego do komunikacyi z miastem używa przeważnie tylko południowo-wschodnia część powiatu, podczas gdy my mieszkańcy południowej części, używamy przy normalnym stanie wody przeważnie tylko „brodu“ jako najkrótszej linii komunikacyjnej. Widzi się tu włościan okolicznych, czepiających się wozów, inni — wprawdzie z nieco kwaśną miną — przechodzą boso lub w butach w bród przez wodę.

Włościanki robią sobie jeszcze mniej skrupułów, boso lub z butami, lecz w rękach — nie przerywając często rozpoczętej rozmowy — kroczą raźnie w wodę i umieją bardzo kunsztownie — nawet przy wyższym stanie wody — uchronić swe dolne ubranie od zamoczenia.

W miesiącach wrześniu i październiku jest stan wody czasem tak nizkim, iż udało mi się raz, przy polowaniu, gdy kuropatwa po strzale na przeciwnym brzegu padła, Dniestr przeskoczyć i kuropatwę podjąć i w ten sam sposób powrócić. Ha! pomyśli niejeden z szanownych czytelników, to już pewnie „łacina łowiecka“ lub „pomyłka drukarska“! Wcale nie, a ci, którzy znają stosunki miejscowe, potwierdzą, iż było to możliwem.

Strzeliłem do kuropatw w łozach przed wyżłem; po pierwszym strzale padła jedna sztuka, drugi raz strzeliłem nad wodą i widziałem, jak druga sztuka przeleciawszy przez 2 odnogi Dniestru, upadła przy przeciwnym brzegu.

Wyżeł zajęty pierwszą kuropatwą, nie widział, co się po drugim strzale stało i nie mógł mi drugiej aportować.

Zszedłem nieco w dół rzeki, tu zobaczyłem, iż woda na szerokiem ryniowisku, rozlewa się czterema kolanami; kolana te miały w niektórych miejscach zagłębienia tak wąskie, iż mogłem je nietylko ja, memi długiemi nogami, ale każdy z myśliwych, bez narażenia się na zamaczanie obuwia, przeskoczyć.

Inaczej przedstawia się Dniestr podczas większego stanu wody lub podczas wylewów; mając płaskie brzegi, rozlewa się on często w szerokość kilkusetmetrową i jest wtedy już i tu pod Samborem wcale poważną, a nawet groźną rzeką.

Do traczów należy także tracz długodzióby (Mergus serrator, der langschnäbelige Säger) i tracz bielaczek, czyli tracz dniestrówka (Mergus albellus, der kleine Säger). Ojczyzną ich jest również daleka północ, oba te rodzaje są mniejsze od pierwszego, zjawiają się u nas w miesiącach zimowych, lecz o wiele rzadziej.

Tracze wielkie, z których 2 egzemplarze, tworzą ozdobę mego skromnego zbioru, są wielkości kaczki „Peking“, z dłuższą jednak, wzniośle trzymaną szyją i śliczną, czubkiem zakończoną głową. Dziób długi, wąski z piłą jak u gęsi, górna część zakończona ostrym, na dół zagiętym szpicem.

U samca głowa i górna część szyi ślniąco ciemnozielone, cała dolna część biała z żółtawym odcieniem, grzbiet ciemno-czarny.

Samica ma głowę i górną część rdzawo-brunatne, dolna część siwo-biała, wierzch ciemno-siwy.

Stanisław Frankiewicz.

Wszystkie te trzy gatunki traczów (Merginae) przepędzają lato na północy, gdzie się gnieżdżą, na zimę zaś posuwają się do krajów umiarkowanych, a tracz dniestrówka (Mergus albellus) nawet do Włoch. Tracz wielki i dniestrówka są u nas w jesieni i na wiosnę, również w zimie na niezamarzniętych i płynących wodach, szczególnie na Dniestrze, pospolite. Tracz długodzióby (Merganser serrator) już do rzadziej u nas spotykanych należy, a szczególną rzadkością u nas są stare, w szacie godowej samce tego gatunku. *(Red.).*

Spostrzeżenia myśliwskie z tegorocznej zimy.

Obok strasznej klęski, jaka spadła tego roku na naszą zwierzynę, niszcząc i decymując stan sarn, zajęcy i kuropatw w wielu miejscowościach w sposób niesłychany, była zima tegoroczna dla myśliwego pod wielu względami pouczającą, dając mu równocześnie dużo cennych wskazówek co do ochrony, hodowli i łowów tej zwierzyny na przyszłość.

W rewirze łowieckim Suchodół pow. Bóbrka, obejmującym 3.000 h. lasu liściasto-szpilkowego, który wraz z polami z pięciu gmin przyległych, stanowi jeden nieprzerwany kompleks myśliwski na obszarze około 5.000 ha., notowano w jesieni z. r. na podstawie otropienia i spostrzeżeń, około

300 sztuk sarn, i dwadzieściakilka większych stadek kuropatw.

Co zaś do zajęcy, to jakkolwiek w roku zeszłym było ich znacznie mniej, stan ich uważać można było za mierny.

Z tych 300 sztuk sarn padło w zimie na polowaniu ledwie 10, winno było przeto pozostać około 290, tymczasem obliczenia jak najdokładniej przeprowadzone*) we wszystkich oddziałach lasowych z końcem marca b. r. wykazały jako pozostałość przezimowaną zaledwie 80 sztuk. Wyginęło zatem w ciągu b. zimy w tutejszych lasach około 210 sztuk sarn tj. 70%! — a z pomiędzy tych znaleziono: 61 sztuk zupełnie zziębniętych i skostniałych, 4 sztuki rozszarpane przez psy, a 3 przez lisy, jeszcze żywe, które trzeba było dobić.

Między padłemi przeważały znacznie kozy, bądźto b. stare, bądź też młode, słabo rozwinięte i wątłe.

Ubytek ten olbrzymi, powstał mimo bardzo starannej i intenzywnej karmy w ciągu całej zimy. Zużyto bowiem na ten cel: 700 porcyi koniczu i 10 kgr. 1500 wiązanek liściarek, (wiązanki 10—15 cm. grube, 50 cm. długie zrobione z maliniaku, młodej iwiny, osiczyny, które sarny wraz z pędami pozjadały prawie do szczętu), 50 snopów owsa, a oprócz tego ścinano przynajmniej raz na tydzień we wszystkich oddziałach lasowych iwinę, osiczynę i t. p., które tak sarny, jakoteż i zające jak najkorzystniej obgryzały.

Porcya koniczu założona do tryzuby, wystarczała zaledwie na 1 dzień. Przy tryzubach znajdowały się lizawki.

Część sarn przezimowana dotąd utrzymała się prawie wyłącznie tylko w miejscach zaopatrywanych w suchą karmę, położonych w zaciszu i zasłoniętych od mroźnych wiatrów, na stronach i zboczach więcej południowych i słonecznych, obok starszych kultur szpilkowych, jakoteż i tam, gdzie równocześnie odbywał się ruch większy we dnie, powodowany wyróbką i wywózką, drzewa z lasu.

Na stokach zaś północnych i zimnych, w głębi lasu, w młodnikach i gdzie wskutek utrudnionego przystępu furmanek lub braku jakiejkolwiek wyróbki drzewnej, gruba warstwa śniegu leżała przez całą zimę prawie nietkniętą, sarny mimo podawanej obficie karmy wyginęły do szczętu.

Pokazuje się z powyższego, jak ważną rzeczą dla myśliwego-hodowcy jest, wybór stosownych i odpowiednich miejsc na karmę dla sarn w czasie zim w ogólności, a dokładne zbadanie t. z. ostoi w szczególności.

Zamiast karmić sarny w rozmaitych miejscach po całym lesie, co nietylko utrudnia rozwózkę karmy i dozór, narażając przytem sarny na liczne niebezpieczeństwa, — lepiej jest koncentrować zwierzynę ile możności, w kilku odpowiednich i pod ścisłem dozorem dobranych miejscach, za pomocą karmy, a wówczas nie tylko sama hodowla będzie tańszą, pewniejszą i łatwiejszą, ale i ubytek ogólny padłych sztuk sarn w czasie ciężkich zim, okaże się znacznie mniejszym.

Pokazuje się oraz, jak ważną i pożyteczną rzeczą dla łowiectwa i hodowli jest również, stosowne i w właściwej ku temu porze odstrzeliwanie pewnej ilości rogaczy, jakoteż i kóz, a to przedewszystkiem okazów słabszych, mniej rozwiniętych lub jałowych, czem ureguluje się cały stan liczbowy sarn tak jakościowo jakoteż i ilościowo, odpowiednio do warunków miejscowych i środków żywienia, jakimi się w danej miejscowości rozporządza, w przeciwnym bowiem razie cała praca i wszystkie koszta, jakie na utrzymanie tej zwierzyny, przez szereg lat łożyliśmy, łatwo w ciągu jednej zimy, pójść mogą zupełnie na marne.

Sarna w gospodarstwie łowieckiem, jeżeli ma mieć w ogóle racyę bytu, i przynieść to, czego się po niej właściwie spodziewamy, a mianowicie: przyjemność w polowaniach i pożytek, nie może być w łowiectwie traktowaną jednostronnie, lecz z starannym i dobrze obmyślanym celem, do którego dążyć powinna każda ochrona i hodowla.

Rozmnażać sarny po lasach, chronić je i hodować, i ponosić przytem często bardzo wielkie szkody, jakie one w różnych kulturach leśnych i ziemiopłodach rolnych wyrządzają, na to jedynie, by na 1 lub 2-ch polowaniach gremialnych w ciągu roku, padło kilka sztuk rogaczy, a potem by resztę lub większą część z nich zmiotła, pierwsza lepsza ostrzejsza zima, to nie tylko niepotrzebne marnowanie pracy, ale i w wysokim stopniu nieekonomiczne.

Wolne odstrzeliwanie kóz, zaprojektowane nową ustawą łowiecką, skoro uzyska w wysokiej Izbie sejmowej uchwałę, nie zaradzi jeszcze złemu, jeżeli właściciele polowań lub ich podwładne organa, nie zajmą się racyonalną hodowlą i uregulowaniem zwierzostanów sarnich na owych terytoryach łowieckich; na każdy jednak wypadek należy się spodziewać, że pod wpływem nowej ustawy łowieckiej, dotyczącej odstrzeliwania kóz i po smutnem doświadczeniu, jakie nam dała tegoroczna zima, zwrot pod tym względem nastąpi ku lepszemu.

Ale nietylko sarny, lecz i dużo zajęcy wyginęło tej zimy. Znaleziono w lasach tutejszych 8 sztuk zupełnie zmarzniętych.

Zając wkrótce po opadnięciu większych śniegów wyniósł się z lasów prawie zupełnie i tylko tu i ówdzie widzieć można było pojedyńcze tropy.

Zagaszczając do najbliższych wsi i zagród włościańskich, padł tam po największej części ofiarą naszego poczciwego chłopka i t. p. innych szkodników.

Stogi z siana lub koniczu odwiedzał stale, a jeżeli one znachodziły się po lasach lub niedaleko dozorcówek, to mógł sobie najspokojniej przy nich, bez narażenia życia, żerować.

Stogi takie umyślnie porozstawiane w odpowiednich miejscach, podczas zim dla karmienia zwierza dają znakomite usługi, bo oprócz stałej i więcej urozmaiconej paszy, jakie w sobie zazwyczaj mieszczą, dają równocześnie tak sarnom jak i zającom pewną ochronę.

Z kuropatw, które rozmnożyły się tu ostatniemi laty bardzo licznie, niema dziś prawie ani śladu, a czego nie zmiotła zima złowroga, to zginęło od sideł i drapieżników.

Jedynie tylko przy większych folwarkach, będących pod okiem troskliwego zarządcy-myśliwca, mogła część pewna kuropatw przezimować, jeżeli uszły szponom jastrzębi, kruków, wron, kotów, kun, tchórzów i t. p., które tu zazwyczaj są stałymi gośćmi.

Choć wiosna tuż za progiem i śniegi tając poczynają, niebezpieczeństwo dla reszty pozostałej zwierzyny jeszcze nie minęło.

*) Co b. łatwo, a z wszelką dokładnością można było tej zimy uskutecznić, bo sarny, jakie tylko były, trzymały się ciągle tryzub i obok nich zalegały.

Trzeba karmić ile możności, dopokąd wiosna nie zawita w całej pełni i pola, łąki i lasy na dobre się nie zazielenią!

W Suchodole dnia 31. marca 1907.

R. Kesselring,

Po strasznej zimie.

Nareszcie doczekaliśmy się czegoś podobnego do wiosny. Po pięciu miesiącach strasznej zimy wyjrzała nareszcie ziemia z pod głębokich lawin śniegowych, wyjrzała czarna, uboga, zmięta i zgnieciona Z ciężkim frasunkiem przygląda się rolnik miejscom, gdzie zieleniły się w jesieni bujne oziminy, a na których teraz sam Lineusz nie odkryłby śladu roślinności; z ciężkim bolem przygląda się myśliwy hodowca wyłaniającym się obecnie z pod śniegu szkieletom i zwłokom swoich kochanych wychowanków.

To dzieje się na dołach, a w górach leżą do dziś kilkometrowe śniegi a wśród nich dogorywają resztki jeleni, które cudem aż do tej chwili przetrwały. Nawet o najwytrwalszej naszej zwierzynie, o dzikach, dochodzą z gór hiobowe wieści, cóż przypuszczać dopiero można o sarnach, jeżeli tak silnie do walki o byt wyposażony zwierz, ulega w zapasach z tegoroczną zimą.

W ostatnich latach wzrosła w górach ilość sarn nad wszelkie spodziewanie; ograniczona ilość drapieżców i kilka łagodnych zim nadzwyczaj korzystnie oddziałały na rozwój zwierzyny w górach; tegoroczna klęska jednym zamachem zniszczyła dorobek lat kilku, przepoławiając liczbę jeleni, a tępiąc sarny zapewne w górach w zupełności. Bez żadnej przesady pokrywały w tym roku kilkometrowe śniegi nasze góry. Jelenie ratowały się jeszcze jak mogły korowaniem drzew i ogryzaniem gałęzi, słabszej sarnie wszelka pasza trawiasta była zupełnie niedostępną, jak również ożyny, stanowiące prawie wyłączne w górach jej pożywienie, a nikłe jej uzębienie uniemożliwiało ogryzanie pni lub grubszych gałęzi, sterczących z pod śniegu. Ale nietylko głodowi uległa zwierzyna w górach Nie mała jej część padła ofiarą owych strasznych, śnieżnych orkanów, powtarzających się tak często i trwających tak długo tej zimy. W czasie takich burz szuka zwierzyna miejsc zacisznych, chroni się wsród głębokich parowów górskich i tam ulega zasypaniu, ginąc po bezowocnych usiłowaniach wydobycia się z śnieżnej topieli.

U nas robi się w ogóle bardzo mało dla zwierzyny, a w górach prawie nic, lecz kto chciałby był nawet karmić i miał środki ku temu, byłby musiał poprzestać na dobrych chęciach, bo góry były po prostu nieprzystępne. To też zewsząd dochodzą smutne relacye z gór naszych.

Ale i w niższych położeniach i na równinach nie lepiej się działo — i tu śniegi leżały grubą warstwą przez kilka miesięcy a wichry i sybirskie mrozy podały sobie ręce na współ z głodem dla wyniszczenia mozolnie wypielęgnowanych zwierzostanów. Już mokre ubiegłe lato było złem przygotowaniem do przebycia zimy dla zwierzyny, która w złej kondycyi, trapiona prócz tego różnymi wewnętrznymi pasorzytami znalazła się nagle wobec kompletnego braku naturalnej paszy, wobec zasp i mrozów, jakich od lat kilkunastu u nas nie było. Słoty długotrwałe i gwałtowne ulewy w lecie r. 1906 zniszczyły lęgi kuropatw prawie doszczętnie, a zajęcze w większej połowie, sarny z zarazkiem motylicy spotkały się z nowym, nieznanym wrogiem — ze straszną polarną zimą, jakiej najstarsze ich generacye nie pamiętały. Kto nie miał w swoim rewirze sporej ilości lizawek, kto od wczesnej zimy aż do tej pory nie karmił obficie zwierzyny suchą i zieloną paszą z dodatkiem soli. kto swoim sarnom nie urządzał sztucznych legowisk ze słomy, lub suchego liścia, ten musiał ponieść ogromne straty w zwierzynie. Lecz znam rewiry otoczone staranną łowiecką opieką, a w których ubytki są w tym roku niestosunkowo wielkie. Najlepiej przetrwały zimę zające, znacznie gorzej sarny, a co do kuropatw, to z tych pozostały w wyższych położeniach chyba bardzo rzadkie niedobitki.

Kwestya paszy także nie łatwa była do rozwiązania. Sarna nawet wśród głodu jest bardzo wybredna na paszę, wybredna swojem podniebieniem i wybredna żołądkiem, który złej paszy nie znosi. A w tym roku mało komu udało się dobrze zbierać konicze. Zła, spleśniała pasza jest trucizną dla sarn, nawet dobra, sucha pasza, podawana wyłącznie bez domieszki zielonej, oddziaływa szkodliwie na organizm sarny; a tymczasem w ubiegłym roku w wielu okolicach naszego kraju wszystkie kapusty, kapusty pastewne, jarmuże itp. rośliny pastewne zostały doszczętnie zjedzone przez gąsienice, tak że w zimie nie było żadnej sałatki dla sarn. Szczęśliwe spostrzeżenie podało mi radę na ten brak; w późnej jesieni zauważyłem, że moje sarny przebywają ciągle na wyoranych ziemniaczyskach i grzebią w nich zawzięcie; to samo trwało i przy pierwszych śniegach, dopokąd mogły dogrzebać się ziemi. Zeiss pouczył mnie, że sarny wygrzebują niepozbierane resztki kartofel i chciwie je zdjadają. „Eureka“ zawołałem, nie ma jarmużu, będziemy dawać kartofle. I od tej chwili oprócz koniczu rozwoziłem po rewirze płukane, krajane i dobrze solone kartofle i buraki. Sarny bez namysłu wzięły się do tej karmy z wielką chciwością, tak, że musiałem ograniczać dawki, lękając się złych skutków z przejedzenia. Przypuszczam, że obfitość lizawek u mnie, szczęśliwa kombinacya karmy i zapewne jakieś korzystne miejscowe warunki były przyczyną tego, że moje sarny, a dużo też i sąsiedzkich, zwabionych żerem, przetrwały doskonale zimę, tak, że oprócz jednej sztuki padłej w jesieni i drugiej rozdartej przez lisy, żadnych więcej ubytków nie skonstatowałem, podczas gdy wszędzie w sąsiedztwie nawet tam gdzie karmiono, dużo sarn zginęło.

Minęła zima, lecz niebezpieczeństwo dla sarn nie minęło jeszcze — wycieńczone ciężką zimą i głodem sarnięta, rzucają się teraz żarłocznie na wszelkie zieleniny i cierpią dotkliwie od biegunki, również i motylica zgłosi się po swój trybut niedługo. W lizawkach leży ratunek; kto ich w rewirze nie posiada, niech je zakłada czemprędzej i to nie skąpo, kto je już dawniej urządził, niech je odnawia, zasilając wyługowaną zawartość nową dawką soli. Lizawki moje od chwili założenia są wszystkie chciwie odwiedzane a urządzam je w sposób najprymitywniejszy: spróchniały klocek jodłowy długości około 1 metr. rozłupuję na dwie połowy, które jeszcze się podłubują; w ten sposób powstaje z każdego klocka, dwa korytka długie na 1 metr, szerokie 30—40 ctm. a głębokie na kilkanaście. Przyczółki tych korytek zabija się kawałkiem deski, a środek wypełnia się czystą, żółtą gliną (bez piasku), rozrobioną na gęste ciasto z domieszką utłuczonej miałko soli kuchennej z dwu topek na każde korytko; oprócz tej soli wtykam jeszcze w każde korytko po trzy grudki soli kamiennej, bydlęcej, wielkości dużego ziemniaka, które rozpuszczając się powoli w glinie, utrzymują ją w stanie ciągłego nasolenia. Lizawki te kopiato słoną gliną nabite, posypuję jeszcze powierzchownie garstką soli i zwilżam kilku kroplami (3—4) olejku anyżowego, którego zapach

ma rzekomo przywabiać sarny. Tak przyrządzone lizawki zakopuję równo z ziemią w miejscach odwiedzanych najchętniej przez sarny i po kilku dniach przekonywam się z zadowoleniem, że są chciwie przez sarny używane. Oprócz zbawiennego hygienicznego wpływu, mają lizawki też i niemały wpływ na zachowanie się i że się tak wyrażę, istotę psychiczną sarn. Około lizawek grupują się sarny rok cały, przez co zapobiega się wywędrowaniu po za granicę rewiru. Ponieważ myśliwy hodowca odwiedza często swoje lizawki i drabinki, sarny przywykają do widoku dobrze życzących im ludzi i w końcu pozbywają się wrodzonej płochliwości. Zwierzęta wszelkie, a szczególniej sarny doskonale umieją ocenić sytuacyę i wiedzą, czy przez spotkane indywiduum ludzkie są zagrożone, czy upragnione — czy tylko tolerowane i stosownie do tego się zachowują. Jestem przekonany głęboko, że moje sarny znają mnie osobiście, a dowodzi mi tego fakt, że do najstarszych moich rogaczy przychodzę na zrębach bez żadnych sztuk, zupełnie otwarcie na kilkanaście a nawet czasem kilka kroków, mówię do nich, świstam, powiewam chustką bez obawy spłoszenia; co więcej — często towarzyszy mi wyżeł, swoją drogą bardzo karny i z widokiem sarn obyty i wtedy zabawnem jest obserwować widoczne zainteresowanie się sarn widokiem psa; rogacze nietylko nie umykają ale podchodzą bliżej i ciekawie się psu o kroków kilkanaście przypatrują. To są dowody roztropności sarn, które doskonale rozróżnić umieją tego, który im dobrze życzy, od tego, który tylko patrzy, gdzie stoi jaki rogacz, aby mu w łeb wypalić. Po zachowaniu się zwierzyny od razu poznać można stopień kultury łowieckiej w dotyczącym rewirze.

Nie cały już miesiąc dzieli nas od piętnastego maja; z niecierpliwością wyczekuje liczny zastęp mysliwych tego terminu, otwierającego podjazd i podchód rogaczy. W tym roku, wobec spustoszeń ubiegłej zimy, powinien każdy z nas zastanowić się dobrze, zanim skurczy palec na cynglu; ta sama powściągliwość okaże się zapewne wskazaną co do kuropatw i co do jeleni w czasie rykowiska.

Dowodem szczęścia i zdolności łowieckich jest zapewne liczny zbiór osobiście zdobytych trofeów i przysparza blasku łowieckiej tarczy zdobywcy; nierównie większego blasku udziela opieka i pielęgnowanie zwierzostanu i rozumna, wskazana okolicznośaiami wstrzemięźliwość w odstrzale. To cnota, którąśmy ciągle w sobie i w naszem nowem, podrastającem, łowieckiem pokoleniu kształcić powinni.

Smutno patrzeć nam w przyszłość, smutno zastanowić się nad stosunkami, w jakich to nowe, myśliwskie pokolenie wyrastać będzie. Myśmy byli chowani w zasadzie, że zwierzyna łowna jest pożyteczną, że jej strzedz przed szkodnikami należy i udzielać jej ochrony i opieki. Dziś inne hasła brzmią wśród falang szturmujących dziedziny świętego Huberta. „Ausrotten“ brzmi nie tylko pod naszym adresem z ust przywódców narodu bojaźni bożej i dobrych obyczajów“ — brzmi nie tylko pod adresem wszelkiego gatunku obszarników z ust naszych własnych trybunów ludowych — brzmi nietylko przeciw polskości na wschodzie naszego kraju — lecz zwróciło się nawet przeciw naszej zwierzynie, jako dyrektywa dla wszystkich, którzy polują na popularność tłumów i znalazło nawet oddźwięk w projekcie nowej ustawy łowieckiej. Miejmy nadzieję, że większa jest „łaska boska niż zawziętość ludzka“ i że na tych wszystkich zagrożonych posterunkach wyjdziemy obronną ręką. *Aleksander Przedrzymirski.*

Kroniczka żałobna.

† **August Sztolcman** znakomity kinolog, autor wielu prac kinologicznych, drukowanych w „Łowcu polskim“, brat p. Jana Sztolcmana redaktora tegoż pisma, zmarł w ostatnich czasach w Grodzisku. Cześć Jego pamięci.



Galicyjski Klub hodowli i tresury psów myśliwskich.

OGŁOSZENIE.

Związek austryacki klubów kinologicznych — którego i nasz klub jest członkiem czynnym, **urządza dnia 8. i 9. czerwca b. r. wystawę w Wiedniu,** pod protektoratem Jego król. i ces. Wysokości, Arcyksięcia Leopolda Salwatora.

Na wystawie tej nadane będą najwyższe odznaczenia za rok 1907, czyli Championaty, dla ras wszystkich.

Wpisowe wynosi K. 20, a nagrody nadawane będą tak pieniężne jak i medale złote, srebrne i brązowe. I. nagroda 40 Kor., II. nagroda 25 K., III. nagroda 15 K.

Psy legawe ras niemieckich sądzić będą pp.: F. Kraus, J. Schröfl, O. Stockmayer, A. Hückel, A. Riedel, K. Mathes, R. Schneider, V. Suchanek, F. Grün.

Pointery: p. A. Towarnicki.

Settery: J. Bertrand, Belgia.

Tropowce, gończe i inne rasy psów legawych: p. Bockhowny.

Jamniki pp.: A. Lik i hr. Wunsbrand.

Programy rozsyła na żądanie Sekretaryat: Österreichische Delegierten-Versammlung, Wiedeń I, Minoritenplatz 3.

Ostatni termin zgłoszeń 25. maja b. r.



Drobne ogłoszenia i inseraty.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**